

CO KRYJĄ TECZKI?

O TAJNYCH WSPÓŁPRACOWNIKACH BEZPIEKI Z ANDRZEJEM CHOJNOWSKIM, GRZEGORZEM MAJCHRZAKIEM, ZBIGNIEWEM NAWROCKIM I TADEUSZEM RUZIKOWSKIM ROZMAWIA WŁADYSŁAW BUŁHAK

AGENTURA PAŃSTWA TOTALITARNEGO

W.B. – Szpiegostwo czy też działalność agenturalna to chyba drugi najstarszy zawód świata. Możemy jednak mówić o pewnej specyfice agentury pracującej na rzecz i w ramach państwa totalitarnego, a więc i komunistycznego. Czym zatem peerelowski TW różnił się od informatora przedwojennej „dwójki”?

G.M. – Podstawowa różnica polega na tym, że w państwie totalitarnym władza zmierza do objęcia kontrolą wszystkich obszarów życia. Inna jest skala zjawiska, liczby agentury. Wystarczy powiedzieć, że w latach pięćdziesiątych w różnego rodzaju kartotekach MBP, czyli jako agenci, ale przede wszystkim jako podejrzani, znalazła się jedna trzecia dorosłych obywateli kraju. W państwie totalitarnym agentura jest podstawowym narzędziem kontroli całego społeczeństwa, a państwo demokratyczne chroni tylko pewne podstawowe interesy, na przykład tajemnicę wojskową.

A.C. – Ja bym nie szukał takich analogii i nie prowadził porównań między krajem demokratycznym a totalitarnym, bo to w gruncie rzeczy nie ma sensu. Natomiast trzeba by porównywać system totalitarny, przynajmniej z założenia, z systemami niewolnościowymi, które w tej czy innej postaci wprowadzają model rządów oligarchicznych, rządów jednostki itd. Różnica jest tutaj w jakości, ale rozumianej nie tylko w skali. Jeśli weźmiemy przykład imperium osmańskiego z przełomu XIX i XX wieku, to w miarę jak udoskonalały się pewne techniczne instrumenty władzy, pojawił się telegraf, poczta itd., można zauważyć taką tendencję, że poszczególni sułtani, zwłaszcza ci, którzy wykazywali pewne ambicje reformatorskie, zaczęli wykorzystywać i rozbudowywać sieć informatorów wszelkiego rodzaju, w tym także agentów nie związanych formalnie z aparatem państwa. A jak się pojawiały pewne fermenty polityczne wśród różnych grup, na przykład nacjonalizm arabski, to ta sieć tym bardziej stawała się potrzebna. Tę różnicę w jakości widziałbym też w tym, że system niewolnościowy ma z założenia zamiary negatywne, on zakazuje wielu rzeczy i stara się trzymać społeczeństwo pod rygorami jakiejś kontroli, przede wszystkim politycznej. Nie ma natomiast ambicji kreowania zachowań, w porównaniu z systemem, który dąży do totalitaryzmu, gdzie ważne jest nie tylko to, czego nie robimy, ale także to, co robimy i co należy robić.

W.B. – Czyli władza chce, żebyśmy robili określone rzeczy, a nawet mieli określone poglądy.

A.C. – I wtedy nie ma tego rozróżnienia między sferą życia, która państwa nie interesuje, a tym, co je interesuje. Wszystkie nasze zachowania, nawet najbardziej intymne, są wpisane w to, co władza chce o nas wiedzieć, każdy fragment naszej osobowości jest bardzo ważny z punktu widzenia kreowania zachowań, czyli zmuszania nas do pewnego typu działań i pewnego typu myślenia. To nie jest więc tylko kwestia rozrostu liczebnego agentury. Jak czyta się te różne doniesienia tajnych współpracowników bezpieczeństwa, to widać, że oni interesują się wszystkim, bo wszystko dla władzy ma istotne znaczenie. Gdy oglądam doniesienia takich klasycznych agentów, którzy obserwowali życie przedwojennej elity politycznej, to kiedy owe doniesienia w postaci tzw. komunikatów komisariatu rządu na m.st. Warszawę trafiały już do urzędników MSW, nie było w nich mowy o tym, co Witos robi w domu z żoną, to ich nie zajmowało. Natomiast, jak wiadomo, tego typu kwestie interesowały władzę powojenne, nawet bardzo.

T.R. – Ja bym na to spojrzał jeszcze z nieco innej perspektywy. Jestem redaktorem i wydawcą instrukcji pracy operacyjnej aparatu bezpieczeństwa z lat 1944–1989. Jedną z tych instrukcji Henryk Głębocki określił mianem esbeckiej „biblii”. Pierwsza z nich była w dużym stopniu kopią czy też klonem odpowiedniej instrukcji sowieckiej i w tym względzie powielala sowieckie wzorce pracy z agenturą. I tutaj właśnie, jak sądzę, kryje się istotna właściwość. To był system obcy, narzucony z zewnątrz. Potem dopiero oswajany, dostosowywany do miejscowych warunków.

Z.N. – Zgodnie z tymi instrukcjami w pierwszym okresie istniał formalny podział na agenturę i sieć informacyjną i miał on pewne odniesienie do rzeczywistości. Agenci tkwili w oddziałach podziemia niepodległościowego, we „wrogich” ugrupowaniach, od PSL poczynając. Równocześnie rozbudowywana była sieć informatorów, która miała za zadanie donosić, informować o wszelkich dziedzinach, nastrojach społecznych, bo bezpieczeństwo od samego początku interesowało przecież wszystko. Fluktuacja tych informatorów jest ogromna. Są okresy, że w czasie jednego miesiąca przybywa i ubywa jednocześnie po kilkudziesięciu informatorów w powiatowym urzędzie bezpieczeństwa. Odbywa się to bez rejestracji, bez sformalizowania, bez procedur. To można wyczytać w sprawozdaniach, które zostały po bezpieczeństwie.

UTRWALANIE WŁADZY LUDOWEJ

W.B. – Pierwszym problemem, z jakim musiał sobie poradzić aparat bezpieczeństwa, było rozbitcie podziemia zbrojnego i opozycji politycznej w latach czterdziestych. Jak można scharakteryzować specyfikę działalności agenturalnej w tym okresie?

T.R. – W latach 1944–1948, w trakcie walk z podziemiem niepodległościowym, agentura urzędów bezpieczeństwa znajdowała się niejako na zapleczu sił wojskowych. W znacznym stopniu pełniła wobec nich funkcję pomocniczą. Przez agenturę możliwe było chociażby ustalenie miejsca pobytu oddziałów podziemia. Wtedy do akcji wkraczały jednostki WP, NKWD, Smiersz czy KBW i fizycznie likwidowały „wroga”.

Z.N. – Nie za bardzo zgadzam się z opinią kolegi. Rola, jaka przypadała agenturze ubeckiej w zwalczaniu podziemia, była dużo większa niż tylko „pomocnicza”. Oddziały podziemia były infiltrowane od środka przez agentów bezpieki, najczęściej zresztą „przewerbowanych” żołnierzy AK czy NOW-NSZ, później NZW. Bardzo często owi agenci UB na zlecenie oficerów prowadzących po prostu fizycznie likwidowali członków, a zwłaszcza dowódców tych oddziałów. Takie przykłady są znane, choćby sprawa zamordowania mjr. Antoniego Żubryda i jego żony, niedawno przecież się skończył proces uniewinniający Jerzego Vaulina ps. konspiracyjny „Warszawiak”, który dokonał ich egzekucji. Podobnie wyglądała sprawa oddziału Wojciecha Lisa ps. „Mściciel”, kiedy to agent UB, Wojciech Paluch ps. „Tor” w styczniu 1948 r. likwiduje dowódcę i jego zastępcę. W większej skali to oczywiście infiltracja kolejnych Zarządów Głównych Zrzeszenia WiN i słynna prowokacja z V Komendą.

W.B. – Bardzo podobną operację zastosowano również wobec podziemia ukraińskiego. Obszerną pracę poświęcił tej sprawie pracownik BEP IPN Igor Hałagida. Są tam zupełnie sensacyjne fragmenty, rodem wydawałoby się z Ludluma czy MacLeana, a do tego niebędące fikcją literacką, jak choćby desant agentów na balonach z okrętów podwodnych. Spróbujmy jednak zobrazować metodę prowokacji stosowanej przez UB na przykładzie przywołanej tu operacji kryptonim „Cezary”, czyli fikcyjnego V Zarządu Zrzeszenia WiN.

Z.N. – Kluczowa osoba w tej prowokacji, a więc Stefan Sieńko ps. „Wiktor”, była oficerem Inspektoratu AK Rzeszów, Podobwód Rzeszów-Południe, czyli Błazowa. Tak się złożyło, że w kierownictwie IV Zarządu WiN znaleźli się byli oficerowie inspektoratu rzeszowskiego, z Łukaszem Ciepłińskim na czele. Jednocześnie od 1946 r. Delegaturą Zagraniczną Zrzeszenia WiN kierował dawny dowódca Sieńki z AK, kpt. Józef Maciołek ps. „Żuraw”. Nieznana jest data werbunku Sieńki. Są różne opinie na ten temat, jedna z nich mówi, że został zwerbowany przy końcu 1946 r. Inni są zdania, że dopiero w grudniu 1947 r. lub nawet że w lutym 1948 r. po aresztowaniu Sieńko został po prostu złamany, zgodził się na współpracę i podjął się montowania V Komendy. Oczywiście jego rola w wydaniu ostatniego autentycznego IV Zarządu WiN w ręce UB była, jak myślę, ważna, ale nie najważniejsza. Brali w tym udział i inni agenci. Natomiast kluczowa była jego rola przy montowaniu tej fałszywki, tej prowokacyjnej V Komendy. Sieńko był autentycznym ofice-

REPUBLICA POLSKA
MINISTERSTWO BEZPIECZEŃSTWA Wewnętrzne

REPUBLICA POLSKA
MINISTERSTWO BEZPIECZEŃSTWA Wewnętrzne

REPUBLICA POLSKA
MINISTERSTWO BEZPIECZEŃSTWA Wewnętrzne

AKTA

sprawy Nr

118/81/370

Zachęta 43. Katowice 1950.
SŁOPOCIWO-7/13/1000 1950.

Tom Nr

1

AKTA

AKTA

sprawy Nr

118/81/370

Zachęta
SŁOPOCIWO

1950

1950

Tom Nr

1

rem AK i WiN. Był w IV Zarządzie szefem organizacyjnym. W jego rękę skupiały się wszystkie nici, adresy, papiery legalizacyjne, cała sfera łączności między poszczególnymi ogniwami. Miał olbrzymią wiedzę, znał ludzi, znał kontakty. Za granicą Maciołek wierzył mu do końca, do likwidacji operacji „Cezary” w 1952 r. Dlatego bezpieka wybrała go do tej roli. Całą sprawę, z tego co dzisiaj wiemy, prowadził Henryk Wendrowski, oficer kadrowy Departamentu III MBP, skądinąd też były oficer AK z terenu białostockiego.

A.C. – Z tego, co panowie mówią, także z innych doświadczeń, czy to Rosji w przededniu rewolucji, czy Rosji porewolucyjnej, bo w latach dwudziestych były tam stosowane podobne metody, wynika, że w jakimś szczególnym okresie niepokoju, wojny domowej itd. agentura odgrywa ogromną rolę. Działa ona wtedy jakby na pierwszej linii frontu i ma dwa podstawowe zadania, jedno polega na tym, że agenci naprowadzali na cel, a drugie – że przyspieszali ujawnianie pewnych rzeczy na zasadzie prowokacji. Tworzono fikcyjne organizacje po to, żeby różne nastroje społeczne się skanalizowały w formie konkretnego działania. Tutaj agentura jest nie do zastąpienia.

AGENCI A HISTORIA PRL

W.B. – Przed aparatem bezpieczeństwa w różnych okresach historii „Polski ludowej” stawiano różne cele, różne zadania; zmieniały się priorytety. Najpierw trzeba było rozbić podziemie zbrojne i PSL, potem przyszła kolej na Kościół. Przeciwników szukano też we własnych szeregach. Wreszcie pojawiła się opozycja demokratyczna i „Solidarność”. Jak ta ewolucja celów i priorytetów, a poniekąd po prostu meandry historii PRL, wpływały na liczbę i jakość agentury? Czy można to badać na przykład metodami statystycznymi?

T.R. – Oczywiście, zakręty historii Peerelu miały wpływ na liczebność tajnych współpracowników UB i SB. Pierwsza duża weryfikacja szeregów TW nastąpiła już w 1948 r. Było to swoiste podsumowanie pierwszego okresu „utrwalania władzy ludowej”. Potem ich liczba znowu się zwiększała. Werbowano coraz to nowe osoby. Punkt kulminacyjny został osiągnięty pod koniec roku 1953, kiedy ta liczba sięgnęła 85 tys. W następnym roku zaczął się już proces odpływu, rezygnacji ze współpracy, niechęci do niej. Potęgowały się nastroje odwilżowe. Jednocześnie w aparacie bezpieczeństwa postępowały kolejne zmiany organizacyjne. Tendencja spadkowa została w pewnym stopniu powstrzymana pod koniec lat pięćdziesiątych. Lata sześćdziesiąte to jest okres, w którym liczba agentów oscylowała na stosunkowo niskim poziomie ok. 10 tys. osób. Jeśli pominąć konfrontację milenijną, także z punktu widzenia liczby tajnych współpracowników był to rzeczywiście okres „małej stabilizacji”.

A.C. – W tych okresach niejako większej stabilności bardziej zwraca się uwagę na jakość, a nie ilość agentury?

G.M. – Rzeczywiście, przykładowo w połowie lat pięćdziesiątych konieczność rezygnacji z części agentury była uzasadniana tak: „mamy tych ludzi zbyt dużo, co przeszkadza, a czasem wręcz uniemożliwia nam prowadzenie efektywnej pracy z agenturą”.

W.B. – **Rezygnacja z części agentów okazywała się jednak często tylko czasowa.**

A.C. – Tak, na przykład gdy środowisko Kuronia i Modzelewskiego, zaczynało się organizować, to SB musiała szybko intensyfikować swoją obserwację i wtedy reaktywowano stare kontakty, sięgano po uśpionych agentów, próbując ich wciągnąć do współpracy, z różnym zresztą skutkiem. Jak dziś wiadomo, w tej wąskiej grupie działał tajny współpracownik Andrzej Mazur („Wacław”), który przekazywał sporo istotnych informacji.

W.B. – **Wróćmy jednak do szczególnej wizji historii Peerelu widzianej przez pryzmat liczby TW.**

T.R. – W latach siedemdziesiątych obserwujemy znów jej systematyczny wzrost. Najpierw powolny, potem jest takie wahanie, co łączy się z reformą administracyjną i jednoczesną reformą struktury MSW w 1975 r. Od roku 1980 następuje szybki wzrost z przyczyn oczywistych. Ta dynamika trwa mniej więcej do 1984 r., potem zauważamy wyhamowanie. W 1984 r. liczba tajnych współpracowników SB sięgnęła 70 tys., co było skalą porównywalną z okresem stalinowskim. Niestety, dokładne dane statystyczne z końca lat osiemdziesiątych zostały – o ile wiem – zniszczone. Na podstawie tego, co się zachowało wiadomo, że w 1988 r. liczba TW osiągnęła 98 tys. Świadczą o tym źródła statystyczne, które pozwalają prześledzić pewne procesy w dłuższym okresie. Można dać pewien komentarz zaczerpnięty ze źródła MSW, a mianowicie cytaty z generała Władysława Ciastonia na temat danych statystycznych. Otóż on na jednej z narad w 1983 r. powiedział, że „liczne zestawienia statystyczne potwierdzające efekty naszej pracy nie mogą pokazać wszystkiego, co się za nimi kryje, zwłaszcza ogromnego wysiłku fizycznego i psychicznego naszych ludzi”.

G.M. – Podkreśliłmy jednak, że te prawie 100 tys. to jest agentura podstawowych pionów SB [czyli kontrwywiadu i pionów zajmujących się obywatelami PRL uznanymi za zagrożenie dla ustroju]. Ale dane te nie uwzględniają na przykład wywiadu, który – warto to dodać – również brał udział w zwalczaniu opozycji demokratycznej, głównie środowisk i osób działających poza granicami naszego kraju, choćby pańskiej „Kultury”.

Z.N. – To jest liczba podstawowa, czyli tzw. departamenty operacyjne, a więc bez jednostek operacyjnych pomocniczych, które także dysponowały sporą agenturą. Na przykład, aby mogło funkcjonować Biuro W zajmujące się perlustracją korespondencji, musiało dysponować agenturą na poczcie. Także etatowi pracownicy SB przesiadywali w sposób stały na pocztach, ale ktoś musiał im fizycznie te listy dostarczyć. Inny przykład to Biuro B, czyli obserwacji zewnętrznej. Dla nich był ważny: portier w hotelu, kelnerka, cieć na parkingu, taksówkarz, dozorca. Następnie Biuro T, czyli techniki operacyjnej. Żeby gdzieś wejść, na przykład do mieszkania, i założyć podsłuch, znów potrzebna była pomoc na przykład montera telefonów czy pracownika spółdzielni mieszkaniowej. Tego rodzaju agentura odgrywała rolę nie informacyjną, ale usługową wobec pomocniczych pionów operacyjnych.

G.M. – Do tej statystyki trzeba jeszcze doliczyć kontakty obywatelskie, kontakty służbowe, konsultantów. Nie należy też zapominać o odrębnej agencji służb wojskowych, o której wciąż wiemy bardzo niewiele.

T.R. – Na podstawie informacji z MSW i jego analiz wiemy, że już od lat sześćdziesiątych w dużej mierze przerzucono się na formę współpracy z tzw. kontaktami operacyjnymi. Ich liczba bardzo wzrosła, a oni nie są wykazywani w tej statystyce.

W PARTII NIE BYŁO AGENTÓW?

W.B. – **Czy tzw. kontakty operacyjne to też agenci, tyle że po prostu partyjni?**

T.R. – W pierwszych latach wprowadzania nowego ustroju w dużej liczbie była werbowana agentura spośród członków partii. Dopiero potem wydano zakaz werbunku. Z jednej strony założono, że zachodzi pewien konflikt. Partyjni nie powinni zbierać informacji o innych partyjnych, zwłaszcza tych wysoko postawionych. A taka sytuacja miała miejsce, choćby w latach kiedy działał słynny Departament X MBP. Wedle tego rozumowania aparat bezpieczeństwa nie może stawać ponad partią. Ma jej służyć. Z drugiej strony zakładano, że z samej natury członkostwa w partii wynika obowiązek informowania o zauważonych „wrogich” działaniach i wspierania organów bezpieczeństwa na wszelkie możliwe sposoby.

G.M. – Dodajmy jeszcze, że ten zakaz stale i bardzo sprytnie obchodzono. W związku z tym odsetek członków partii wśród „klasycznych” tajnych współpracowników wcale nie był taki mały. W pierwszej dekadzie Polski Ludowej byli oni najczęściej werbowani na podstawie tzw. materiałów kompromitujących.

A.C. – Rzeczywiście warto zderzyć się z mitem głoszącym, że to jedynie dawna opozycja boi się lustracji. Z moich skromnych badań dotyczą-

cych środowiska naukowego wynika, że gros informacji przekazywali członkowie partii, którzy byli nazywani raz TW, a innym razem KO. Pomijając nawet to, że członek partii mógł zostać zwerbowany jako TW za zgodą I sekretarza KW PZPR czy kierownika wydziału w KC, ale przecież te odrębne kategorie, takie jak KO czy konsultant, zostały właściwie stworzone po to, żeby oni mogli to robić także bez zgody.

G.M. – W przypadku konsultanta była jednak pewna różnica. To nie był taki typowy donosiciel, tylko często rzeczywiście fachowiec w danej dziedzinie, na przykład socjolog pomagający bezpiecznie znaleźć autorów ulotek.

A.C. – Praktycznie te kategorie niczym się nie różniły poza nazewnictwem. W latach sześćdziesiątych, czyli latach względnej stabilizacji, bardzo wzrosła rola takich informacji, nie plotkarskich, tylko tych o nastrojach, o funkcjonowaniu instytucji, całych środowisk, a także nawet o metodologii prowadzenia badań naukowych, przekazywanych przez aparat partyjny. Partia była moim zdaniem trochę niedocenianym źródłem wiedzy o tym, co dzieje się w społeczeństwie. Kanały partyjne okazywały się bardzo mobilne, a pamiętajmy, że to się działo w momencie przełomu, kiedy dochodziło do głosu nowe pokolenie, które zostało wychowane już w Peerelu. W aparacie partyjnym i wśród tzw. aktywu silną pozycję miała formacja przedwojenna, postkapłepowska, którą cechowało niesłychane poczucie lojalności. To państwo i ta władza były traktowane jako swoje. I przychodziło się do tej władzy z różnymi spostrzeżeniami, z poczuciem obowiązku, nie traktując tego jako donosu. Widziałem sporo pism skierowanych do Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR: kiedy profesor X przebywał za granicą i widział, że jakiś jego kolega zachowuje się politycznie czy obyczajowo niewłaściwie, pisał do szefa wydziału Andrzeja Werblana list informujący o takim przypadku.

Z.N. – Skoro jesteśmy przy partii, to nie zapominajmy o jeszcze jednej kategorii, która też jest kategorią współpracy. Chodzi o właścicieli lokali kontaktowych. Czasami mówię nawet o aspektach kryminalnych tego zjawiska, ponieważ można było na tym niezłe zarobić, więc funkcjonariusze werbowali takie osoby spośród członków swych rodzin czy też rodzin różnych innych funkcjonariuszy, w tym partyjnych. W nomenklaturze esbeckiej właściciele lokali kontaktowych byli traktowani na równi z agentami, bo to musiały być osoby zaufane, to była wyższa kategoria. Przecież tam się odbywały spotkania z wieloma źródłami.

„SOLIDARNOŚĆ” POD CZY POZA KONTROLĄ?

W.B. – W jakim stopniu dane środowisko musiało być nasycone agenturą, aby dzięki tajnym współpracownikom aparat miał poczucie pełnej nad nim kontroli? Myślę, że warto o tym wspomnieć w kontekście „operacyjnego zabezpieczenia” NSZZ „Solidarność”.

Dziś walczą ze sobą dwa mity. Jeden o całkowitej niemal odporności wyidealizowanej „panny S” na działania bezpieki i agentury i drugi, w myśl którego związek powstał z jej walnym udziałem i był doskonale zinfiltrowany na różnych poziomach, co także oznaczało zewnętrzne sterowanie.

Z.N. – „Solidarność” była, owszem, infiltrowana, ale na pewno nie była sterowana.

G.M. – Ta pierwsza „Solidarność” to chyba była największa porażka SB. Gdyby bezpieka była skuteczna, to nie trzeba by było wprowadzać stanu wojennego. Z jednej strony był on bowiem wielkim zwycięstwem władz i SB, ale z drugiej – z punktu widzenia resortu spraw wewnętrznych – porażką. Porażką pomysłu na przejęcie kontroli nad „Solidarnością”, próby wkomponowania jej w istniejący system. W dokumentach SB wyraźnie to widać. Funkcjonariusze bezpieki piszą bowiem, że jeżeli chodzi o zabezpieczenie dopływu informacji o poczynaniach związku, to z tym nie było problemu, ale jednocześnie SB (m.in. z powodu braku odpowiedniej liczby agentury oraz jej jakości) nie udało się wpłynąć na działalność związku. W styczniu 1981 r. bezpieka dysponowała niespełna jednym agentem na dziesięć komisji zakładowych! Oczywiście silniej zinfiltrowana była góra „Solidarności”. W Krajowej Komisji Porozumiewawczej, liczącej formalnie kilkudziesięciu członków, oraz w ich najbliższym otoczeniu było bowiem w zależności od okresu od jedenastu do siedemnastu agentów. Ta informacja musi robić wrażenie. Co ciekawe, w utworzonej po I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność” (wrzesień–październik 1981 r.) Komisji Krajowej liczącej ponad stu członków, SB według własnych statystyk miała dysponować jedynie czterema tajnymi współpracownikami. Wracając do stanu wojennego, pamiętajmy, że rodził on z punktu widzenia SB dodatkowe problemy, bo w działalność opozycyjną angażowali się zupełnie nowi ludzie. Znacznie lepiej z punktu widzenia bezpieki byłoby konsekwentnie kontrolować znane już środowiska, a nie rozpoczynać działania niemalże od zera.

W.B. – Znowu powraca pytanie o jakość tej agentury. Być może część kontaktów w Krajowej Komisji Porozumiewawczej to osoby zarejestrowane, ale w tym momencie nieczynne? Czy zachowane materiały archiwalne pozwalają nam to rozstrzygnąć?

G.M. – Rzeczywiście, nie możemy zamknąć się w cyfrach. One są ważne, bo mówią w pewnym sensie o stopniu infiltracji. Ale jeśli się spojrzy nieco dokładniej na te zestawienia dotyczące chociażby agentury w Komisji Krajowej, to tutaj nie został wykazany, według tego, co twierdzą sami funkcjonariusze SB, ich najważniejszy agent, czyli Eligiusz Naszkowski ps. „Grażyna” (przewodniczący Zarządu Regionu Piła NSZZ „Soli-

darność"). Służba Bezpieczeństwa wiązała z nim ogromne nadzieje, potem został funkcjonariuszem elitarnej jednostki MSW do zwalczania „Solidarności”. To był typowy agent informacyjny, którego największym sukcesem jest nagranie radomskich obrad prezydium Komisji Krajowej i przewodniczących zarządów regionów „Solidarności” na początku grudnia 1981 r. (zostało ono wykorzystane przez propagandę jako „uzasadnienie” stanu wojennego), za co otrzymał 50 tys. złotych. Co ciekawe, drugi agent, który nagrał to posiedzenie, nie dostał ani złotówki. Z kolei wśród osobowych źródeł informacji w Krajowej Komisji Porozumiewawczej wykazywany jest m.in. tajny współpracownik o pseudonimie „Zenon” zwerbowany jeszcze przed powstaniem „Solidarności”, w czerwcu 1980 r., przez kontrwywiad w jednej z komend wojewódzkich. Człowiek, który miał rozpracowywać Niemców przyjeżdżających do niego na kwaterę, a który nigdy przeciwko „Solidarności” nie działał.

A.C. – Bardzo bałbym się takich uogólnień. Czy my trochę nie jesteśmy wpędzani w maliny przez te źródła? Postępuję się konkretnym przykładem, który jakoś mogę zweryfikować jako świadek historii. Trochę maczałem palce w jednym podziemnym wydawnictwie i widzę dzisiaj, że nasi młodzi koledzy, dowodzeni przez Andrzeja Friszke, napotykać problemy w badaniach nad tym zjawiskiem. Nic nie znajdują. Wynika bowiem z teczek różnych figurantów, że SB nie miała żadnej wiedzy o działalności w strukturach poszczególnych wydawnictw, co jest zupełnie nieprawdopodobne.

W.B. – Czy możemy się pokusić o jakąś hipotezę wyjaśniającą ten stan rzeczy?

A.C. – Bardzo ważne jest, żeby znajdować w źródłach nie tylko to, co w nich jest, ale także czego tam nie ma i dlaczego nie ma. Na czym mógłby polegać scenariusz, pisany kiedyś przez SB i teraz odżywający z za grobu? Przede wszystkim na ukryciu źródeł informacji i na namaszczeniu dawnych tajnych współpracowników, tak aby przeszli do historii jako ludzie bez skazy. Czytam dzisiaj protokoły przesłuchań osób, które skądinąd były kiedyś przez nas podejrzewane o niezbyt czyste kontakty, i widzę zadziwiające zjawisko: oficer SB zadaje wyłącznie „naiwne” pytania w rodzaju: „czy kolportował pan nielegalne wydawnictwa?”, na co przesłuchiwany niezmiennie „odmawia odpowiedzi”. Jeśli zważam, że ów oficer nie próbuje „przycisnąć figuranta”, nie wykazuje dociekliwości, nie wykorzystuje posiadanej wiedzy operacyjnej etc., to mam prawo być podejrzliwy.

Niewiele wciąż wiemy o funkcjonowaniu resortu, o jego relacjach z innymi instytucjami władzy, o zasadach i intencjach swego rodzaju gry, jaką prowadził przeciwko środowiskom opozycyjnym. Bardzo byłbym ostrożny z idealizowaniem tych środowisk, z wypowiedaniem opinii, że „Solidarność” nie dała się spenetrować, że wydawnictwa drugoobiego-

we były szczelne, a SB nikogo w nich nie miała. Kulisy tych spraw dopiero zaczynają wychodzić na światło dzienne.

G.M. – Ale to, co ja mówiłem, dotyczyło masowej tzw. pierwszej „Solidarności” z lat 1980–1981. Rzeczą oczywistą i zupełnie normalną jest, że w latach 1982–1989 wraz z topniejącym gronem działaczy podziemia, kiedy jest ich już tylko kilkadziesiąt, a potem kilkanaście tysięcy, nasycenie agenturą z każdym rokiem wzrasta. Widać to na przykładzie warszawskiego Radia „Solidarność”, w którym w pewnym momencie bezpieczeństwa kontroluje operacyjnie bodajże trzy z czterech nadajników. Co więcej, w 1987 r. tajny współpracownik SB w radiu prowadził „kontrolowane emisje audycji”.

Z.N. – To prawda stara jak świat, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Także poszczególne RKW „S” były infiltrowane przez agentów, którzy wchodzili w skład ścisłych gremiów kierowniczych i o dziwo, włos z głowy nikomu nie spadał. Służba wiedziała – co prawda – nie o wszystkim, ale o wielu poczynaniach i działalności wąskiej grupy kierowniczej podziemnej „S” dzięki agenturze i nie podejmowała żadnych działań represyjnych – zatrzymań, aresztowań.

W.B. – **Paradoksalnie zatem z punktu widzenia bezpieki opozycja czy w tym przypadku podziemna „S” była potrzebna, a nawet konieczna. Tyle że kontrolowana.**

Z.N. – Co dziwne, kontrola pewnych struktur kierowniczych „Solidarności” nie prowadziła do żadnych aktywności inspiracyjnych. Choćby na wzór tych z lat czterdziestych, o których tutaj mówiliśmy. Wystarczała sama kontrola, wiedza. Na tym się kończyło. A możliwości były, jeśli na przykład w piątce kierowniczej był agent, który informował SB o wszystkim. Agent, którego wynagrodzenia w latach 1982–1984 były tak poważne, że mógł sobie za nie kupić samochód marki Polonez (zezwoleńce podpisywał sam wiceminister spraw wewnętrznych). Oczywiście istniała możliwość działalności inspiracyjnej, a nie ma jej śladów.

A.C. – Chciałem zwrócić uwagę na pewien aspekt tej sprawy. W 1983 r. powstało opracowanie Departamentu III dla władz resortu i dla WRON na temat sytuacji na Uniwersytecie Warszawskim. To jest dokument bardzo skondensowany, nie ma w nim wiedzy operacyjnej, w sensie intelektualnym bardzo powierzchowny, mniej więcej to samo, co można było też przeczytać w ówczesnej „Trybunie Ludu”. Natomiast wnioski końcowe ewidentnie szły w kierunku przykręcenia śruby, jak to się wtedy mówiło. Są propozycje czystek personalnych, zmiany dziekanów itd. I okazuje się, że resort w tym momencie nie ma siły przebiccia, „polityczna góra” nie decyduje się pójść w tę stronę.

Gdy chodzi o politykę SB wobec ruchu podziemnego, to w latach 1983–1984 zdarzały się oczywiście wpadki, zatrzymania, rewizje itp., ale jednocześnie osoby przestuchiwane były przez esbeków jakoś kokietowane, w sposób zresztą dość tandetny, uwagami w rodzaju: „My musimy pewne rzeczy robić, ale w głębi ducha jesteśmy za »Solidarnością«. Potem przychodzi rok 1984, zakończony niewyjaśnionym nadal zabójstwem ks. Popiełuszki. Gdzieś na górze zapada w tej kwestii decyzja polityczna, a jej konsekwencją staje się fala uderzeń w opozycję wiosną 1985 r. Zaczyna się czystka pod hasłem: „Myśmy do tej pory na różne rzeczy pozwalali, ale teraz już dość”. Nawet jeśli nie dochodzi do aresztowań, to SB ujawnia swoją wiedzę operacyjną. Ludzie, którzy kolportowali, coś robili przez wiele lat, są teraz pytani: „czy pan zna taki adres, ten numer telefonu, czy pan jeździł tym samochodem?”. Nie po to, żeby ich wsadzać do więzienia, ale żeby przekazać, że to już koniec. Gdzie taka decyzja zapadła i z jakich wynikała kalkulacji, tego wciąż nie wiemy.

Z.N. – Odzwierciedlenie tego jest w dokumentach. Właśnie w latach 1983–1984 ludzie wzywani są rzeczywiście na przesłuchania, każe im się podpisywać te tzw. lojalki, że nie będą działać przeciwko władzy ludowej i ustrojowi socjalistycznemu. Po czym w bardzo krótkim czasie pojawiają się już notatki, że pomimo takiego oświadczenia ta osoba wraca do działalności i nic się właściwie nie dzieje.

CZY MOŻNA UFAĆ TECZKOM?

W.B. – *Jaka jest wiarygodność ubeckich akt? Jest kilka takich obiegowych opinii, np. że SB fabrykowała fikcyjnych TW, a właściwie ich raporty, dla siebie znanych celów.*

Z.N. – To jest oczywiście nieprawdą.

G.M. – Wymienia się dwa podstawowe cele, dla których funkcjonariusze mieli werbować fikcyjnych agentów. Po pierwsze pochwały przełożonych związane z liczbą zwerbowanych tajnych współpracowników, po drugie pieniądze, które miały być wydatkowane na spotkania z agentami i na „prezenty” dla nich. Tu trzeba powiedzieć dwie rzeczy. Przede wszystkim funkcjonariusz nie był rozliczany z tego, że miał np. dziesięciu agentów, ale ze skuteczności działań w ramach konkretnego rozpracowania. Poza tym, z tego, co widziałem, wynika, że w większości przypadków nie ma mowy o żadnym wynagradzaniu agentury. Zatem nie za bardzo widać tu możliwość, żeby w ten sposób jakieś pieniądze, „lewą kasę” zachować dla siebie.

Z.N. – Opinia, że teczki tajnych współpracowników były fałszowane, jest z gruntu nieprawdziwa. Mogły się zdarzyć incydentalne przypadki. Ale proszę pamiętać o ryzyku, jakie ponosił funkcjonariusz dokonujący

takiej fałszywki. Przecież zarówno dzisiaj, jak i wówczas wylatywał z wilczym biletem z pracy, bo po prostu oszukiwał swoich przełożonych i władze. Wylatywał dyscyplinarnie. Proszę pamiętać o tym, ile osób tak naprawdę wiedziało o tym tajnym współpracowniku. To jest grupa dwudziestu czy nawet trzydziestu osób. Oficer prowadzący zawsze mówił swojemu agentowi, że tylko on wie o współpracy, że w razie czego to oczywiście zniszczy wszystkie jej dowody i nic nie zostanie. Tymczasem w większości przypadków o tym źródle wiedzieli koledzy tego oficera prowadzącego, którzy razem z nim siedzieli w pokoju. Wiedział kierownik sekcji, zastępca naczelnika. Wiedział naczelnik, ponieważ zatwierdzał dokonanie danego werbunku. Wiedział zastępca szefa czy komendanta danego Urzędu Spraw Wewnętrznych ds. SB, a czasami było ich kilku. Wiedział pion C (czyli archiwum). Wiedziela jeszcze sekretarka w wydziale operacyjnym, która rozsyłała korespondencję, wiedziały panie z kartoteki. Wiedziały odpowiednie władze w Warszawie, bo przecież wszystkie rejestracje, zmiany itd. danego źródła były przysyłane do Biura C do Warszawy, a to się jeszcze w kilku wydziałach skupiało. Wiedzieli oczywiście przełożeni w pionie operacyjnym w centrali, czyli znów w konkretnym departamencie, wydziale i w odpowiedniej sekcji. To tyle, jeśli chodzi o wiedzę o jednym źródle.

T.R. – Chciałem zwrócić uwagę na etapowość powstawania tej dokumentacji dotyczącej TW. Po każdym etapie werbunku funkcjonariusz musiał pisać raport o zgodę na kolejny etap do swojego przełożonego. Druga rzecz to funkcje archiwalne tej dokumentacji. W momencie kiedy współpraca była zawieszana, przysyłano dokumentację do archiwum z myślą, że być może kiedyś się do tego wróci. I z tego względu te opisy, charakterystyki, będące oczywiście wynikiem subiektywnej oceny pracownika, musiały w stopniu możliwie najbardziej wiarygodnym odpowiadać rzeczywistości, bo na tej podstawie zastanawiano się, czy ta osoba może być ponownie przydatna do jakiejś akcji organizowanej przez SB.

Z.N. – Dla mnie rejestracja, oprócz incydentalnych przypadków, jest wiarygodna. Co innego z tymi materiałami, które tam się znajdują. Można było na potrzeby przełożonych sfałszować podpis pod zobowiązaniem, nie wykluczam takich sytuacji. Ani też konfabulacji zawartych w danym doniesieniu. Bo czasami przychodził informator, który nie miał nic do powiedzenia, a przełożony oczekiwał konkretnej informacji. Wtedy trzeba było dokonać pewnej manipulacji na podstawie nijakiej wiadomości spisanej z ust danego źródła. Bo na przykład trzeba rozliczyć rachunek z funduszu operacyjnego ze spotkania ze źródłem w restauracji. To są normalne ludzkie słabości.

G.M. – Kolejna rzecz – sprawa pana Wiesława Chrzanowskiego, przypomniana ostatnio publicznie przez gen. Gromostawę Czempieńskiego.



Tutaj mamy do czynienia – tak przynajmniej wynika z zachowanej dokumentacji – ze zbyt pochopną rejestracją Chrzanowskiego w latach siedemdziesiątych jako tajnego współpracownika. Przeprowadzono z nim cztery rozmowy, w języku SB tzw. operacyjno-sondażowe. Chrzanowski nie odmawiał rozmów, ale mówił kategorycznie, że nie chce być agentem, że nie będzie donosił na kolegów. I mimo tego oficer SB stwierdził, że właściwie można go zarejestrować jako tajnego współpracownika. Notabene stosunkowo szybko Chrzanowskiego wykreślono z ewidencji tajnych współpracowników. Można chyba zaryzykować stwierdzenie, że mamy tu do czynienia z „werbunkiem” w celu wyłączenia „figuranta” z ewentualnego zaangażowania w działalność opozycyjną. Przypadek Chrzanowskiego świadczy o tym, że nie należy wydawać zbyt pochopnych wniosków bez zbadania akt.

W.B. – Dochodziło też do takich sytuacji, jak oczernianie ludzi, zarzucanie im związków z SB.

G.M. – Tak było na przykład z przewodniczącym związku w Centrali Pomorskiej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Gdańsku, Mieczysławem Ziętałą. W celu skompromitowania go w oczach kolegów z pracy został on wcześniej zwolniony z internowania, po czym funkcjonariusze SB przeprowadzili z nim kilka rozmów w pracy. I chociaż z Ziętałą „nie nawiązano dialogu operacyjnego”, to jednak SB udało się wywołać w środowisku kolejarskim podejrzenia co do jego osoby. W efekcie udał się na dwuletni urlop bezpłatny, a „Solidarność” w centrali Pomorskiej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych utraciła w opinii SB „faktycznego przywódcę”. Jeśli w SB wytwarzano fałszywe dokumenty dotyczące współpracy danej osoby z bezpieczeńką, to były one przeznaczone nie do dokumentacji wewnętrznej, ale na zewnątrz. Tak było z dokumentami dotyczącymi rzekomej współpracy Lecha Wałęsy z SB w latach osiemdziesiątych. W 1982 r., żeby przewodniczący „Solidarności” nie otrzymał pokojowej Nagrody Nobla, wytworzono fałszywki wyekspediowane do członków jury przyznających tę nagrodę. Ślady tej operacji znajdziemy w aktach SB.

W.B. – Inna obiegowa opinia mówi, że większość tajnych współpracowników w rzeczywistości nie wyrządziła swoją działalnością żadnej szkody. Coś tam podpisała, ale nie współpracowała. Albo że spotykała się tylko kilkakrotnie w kawiarni, ale udzielała ogólnie dostępnych, nieistotnych informacji, dla świętego spokoju.

G.M. – Służba Bezpieczeństwa była silną słabością ludzi. Wielokrotnie byłem zdziwiony tym, jak wielu osób mimo nieraz trudnej sytuacji życiowej nie udało się bezpiecze zwerbować. Tu metod też było oczywiście bardzo wiele. Pamiętam przypadek kobiety z Gdańska, którą aresztowano chyba za udział w strajku, i przedstawiono jej alternatywę: albo

podpisuje pani zgodę na współpracę z nami, albo idzie pani siedzieć do więzienia. Podpisała zgodę na współpracę, ustalono datę pierwszego spotkania z funkcjonariuszem w kawiarni, na które ona zaprosiła także swoich kolegów z zakładu pracy. I to był koniec jej kłopotów z SB.

Z.N. – Rzeczywiście słyszymy opinie o tym, że są agenci źli, mniej źli i nieszkodliwi itd. Wyznaję zasadę, że ci, którzy podpisali zobowiązanie i nie podjęli współpracy, nie byli agentami. Przykład podaliśmy przed chwilą, a takich przykładów byłoby sporo. Znam przypadki, że na drugi dzień ktoś dzwonił do oficera i mówił, że przemyślał to przez noc i nie będzie współpracował. Jednak pośród pozostałych właściwie nikt nie jest bez winy. Każdy był jakimś trybikiem w tej maszynie, każdy miał inne zadania do wypełnienia. Po pokwitowaniach, po dokumentacji wytworzonej przez taką osobę albo jej oficera prowadzącego można się zorientować, że taki „agent udzielający nieważnych informacji” odgrywał naprawdę bardzo istotną rolę dla resortu. Pierwsze wrażenie jest takie, że on za bardzo nikomu nie zaszkodził. Ale proszę zwrócić uwagę na te informacje. To są często jakieś drobne, kilkudzaniowe charakterystyki na przykład kolegów z akademika czy kolegów z pracy. Tylko że te informacje służą następnie do sporządzenia opinii funkcjonariuszom SB w celu albo analizy pod kątem werbunku tej właśnie osoby albo kontroli innego źródła, o czym zainteresowani oczywiście nie wiedzą.

A.C. – Obawiam się, że nie da się na dłuższą metę udowodnić tezy, którą postawił pan Krzysztof Kozłowski, że agenci byli ostatnim, umęczonym ogniwem tamtego systemu, wręcz jego męczennikami. W tej debacie są jeszcze inne istotne kwestie, na przykład zarzuty, które już trochę się nam stawia. Po pierwsze, że historycy bezkrytycznie wierzą teczkom SB i po drugie, że te te czki stanowią w dużej mierze taką bezwartościową makulaturę, wreszcie, że są tam drażliwe materiały obyczajowe, które mogą być bardzo przykre dla rodzin. Do tej pory jednak nie można nam zarzucić, że zachowujemy się jak słońce w składzie porcelany. Ostrożność badaczy jest duża. Wszyscy mają świadomość, że to jest rzeczywiście bardzo delikatna materia. My doskonale wiemy, że te dokumenty trzeba weryfikować, poddawać procedurze krytyki źródeł. Jeśli nawet te materiały policyjne mają swoją własną specyfikę, to aż tak bardzo nie odbiega ona od innych źródeł, z którymi mamy do czynienia, żebyśmy zapominali o elementarnych zasadach naszego zawodu.

W.B. – **A jeśli chodzi o kolejną tezę, że to jest taki materiał bezwartościowy?**

A.C. – Jest ona po prostu bezsensowna. Ja uważam, że te materiały mogą prowadzić do poszerzenia pola obserwacji historycznej. Jest to widoczne w kilku płaszczyznach. Z pewnego punktu widzenia nie jest istotne, w jakim stopniu informacje, które były zbierane i przerabiane

przez resort, opisywały potwierdzone fakty. Chociaż można tutaj znaleźć na przykład naprawdę ciekawe analizy nastrojów społeczeństwa w różnych okresach. Najistotniejsze jest to, że te informacje – prawdziwe i nieprawdziwe – były podstawą podejmowania decyzji politycznych przez elity peerelu. Na tej podstawie można rekonstruować procesy decyzyjne, mentalność tych elit, ich wyobrażenia na temat społeczeństwa. To jest bardzo istotne. Po drugie, materiały policyjne swoją drobiazgowością, wchodzeniem w intymne sfery życia, choć to bardzo delikatne i wymaga dużej ostrożności, stwarzają możliwość innego spojrzenia, niż przyjęło się w klasycznej historiografii politycznej. Panuje dzisiaj moda na odtwarzanie przeszłości przez prymat losów jednostki, pokazywanie ofiary, zagubionej w odmętach historii. A przecież indywidualny, intymny materiał wytworzony przez policję daje właśnie pewną szansę spojrzenia na historię oczyma zwykłych ludzi.

Uderzyło mnie, że w książce *Oblicze Marca 1968* profesor Jerzy Eisler oburza się na SB za marnowanie czasu i energii na zbieranie informacji w rodzaju: jakie filmy oglądał „figurant” i na jakich seansach. Gdyby mediewiści mieli takie dane o zainteresowaniach i trybie dnia średniowiecznych elit, umarliby zapewne ze szczęścia. Natomiast historyk współczesności traktuje tego rodzaju informacje jako dopust Boży, a stanowią one przecież ogromną szansę dla rekonstrukcji, przykładowo, codzienności tamtych czasów.

W.B. – Życia codziennego, ale chyba jednak nie tak całkiem przeciętnej grupy osób. Tajnych współpracowników pozyskiwano wszak w środowiskach interesujących operacyjnie. A zatem interesujących – jakkolwiek dwuznacznie by to brzmiało – i dzisiaj, dla nas historyków.

A.C. – Ci TW to nie byli tylko taksówkarze, dozorczy, kucharze, to często były osoby, które znaczyły bardzo wiele w pewnych środowiskach i które nie zajmowały się tylko dostarczaniem plotek towarzyskich. Sam czytałem analizy sytuacji środowiskowej w pewnej istotnej wtedy instytucji naukowej, pisane przez wybitnych uczonych, którzy stali się TW. I to jest szansa dowiedzenia się czegoś o tych środowiskach.

W.B. – Jeszcze jeden zarzut dość często jest podnoszony, że ci najważniejsi agenci nigdy nie zostali zarejestrowani, ich raporty nie zostały spisane, i że oni rozplynęli się w jakimś niebycie. A to na nich spoczywa największa moralna odpowiedzialność. Czy panowie mogą to skomentować, czy są jakieś ślady, że coś takiego rzeczywiście mogło mieć miejsce?

G.M. – Rzeczywiście jakieś takie pojedyncze przypadki mogą być, ale zdajmy sobie sprawę, że w przypadku każdego agenta była nie tylkoteczka personalna i teczka pracy, ale oprócz tego na przykład charakte-

rystyka tego człowieka, zrobiona po iluś tam latach, gdzie znalazła się jakaś informacja o samej współpracy. Jest duże prawdopodobieństwo, że zachowały się jego doniesienia w innych miejscach. Bo jego doniesienia szły nie tylko do teczki tajnego współpracownika, ale też do akt dotyczących rozpracowania danego obiektu (mógł być nim na przykład uniwersytet, zakład pracy czy środowisko). Szły wreszcie do teczek osób, których te doniesienia dotyczyły. Wiele jest takich przypadków, że sami poszkodowani są w stanie rozpoznać danego agenta, mimo że jego dokumentacja nie zachowała się w IPN.

Z.N. – Nie sądzę, żeby były przypadki niezarejestrowania osoby, która pozostawała w zainteresowaniu SB. W takim razie mielibyśmy do czynienia po prostu z samowolą czy raczej prywatą. Oficer SB, niezależnie od jego pozycji w służbach, nie mógł dokonać werbunku, o którym nikt nic nie wiedział. Przecież te informacje ustne, pisemne jakoś muszą wpływać i być przetwarzane w ramach systemu. Gdzieś to musi się znaleźć, chyba że to jest prywatny agent danego funkcjonariusza i on sobie pracuje na jego rzecz. Nie sądzę, żebyśmy mieli do czynienia z takimi przypadkami. Niektóre osoby natomiast rejestrowano inaczej. Szczególnie cenne źródła nie były rejestrowane pod kategorią, pod sygnaturą jako źródło czy jako TW, ale jako figuranci, czyli osoby rozpracowywane. W niektórych kombinacjach operacyjnych czy sprawach operacyjnego rozpracowania (SOR) bądź sprawdzenia (SOS) ukrywano fakt współpracy w taki oto prosty sposób, że taka osoba była wzywana na przesłuchania. W czasie przesłuchań składała informację, która stanowiła jeden z elementów przesłuchania. To jest klasyczna kombinacja przewidziana instrukcjami, kuchnia pracy operacyjnej. Dlatego tak się to odbywało, czyli ukrywanie, konspirowanie, żeby zataić fakt współpracy przed szerszą grupą wewnątrz resortu, o której mówiłem, bo przecież ona zwykle znała faktycznie dane personalne danego źródła. W takich przypadkach o tym, że ta osoba jest źródłem, a nie figurantem, wiedział tylko oficer prowadzący i jakiś jego wyższy przełożony.

A.C. – Jest taki potoczny pogląd, że dowody działalności poszczególnych TW, którzy szczególnie kompromitowaliby dzisiejszy establishment, zostały skutecznie wymazane. W przypadku tak gigantycznej struktury jest to raczej wątpliwe. Natomiast pewnie istnieje taka kategoria, która może tylko w części leżeć w zasięgu naszej rozmowy, mianowicie agentura KGB. Wśród polskich obywateli ona istniała, ale prawie nic o niej nie wiemy.

Z.N. – Szczególnie po roku 1980.

W.B. – **Jakie informacje przekazywano do Moskwy? Czy to były po prostu kopie najważniejszych materiałów, czy też jakieś inne, na przykład skrócone zapisy?**

G.M. – Od 1978 r. dane dotyczące agentury nie tylko polskiej, ale też i z innych państw socjalistycznych Moskwa otrzymywała dzięki wspólnemu systemowi informatycznemu ZSKO (Zintegrowany System Kartotek Operacyjnych). System ten zawierał podstawowe informacje o zapisach (rejestracjach) archiwalnych dotyczących danej osoby. Przekazywano informacje zarówno o agenturze, jak i o osobach rozpracowywanych. Wszystkie zapisy, które były w systemie informatycznym SB, szły do towarzyszy radzieckich. Nigdy nie miałem dostępu do tej bazy elektronicznej, ale wiem, że tam znalazły się jedynie podstawowe dane. Jednak znając ówczesne realia, śmiało można stwierdzić, że na życzenie Moskwy udzielano również bardziej szczegółowych informacji.

Z.N. – Informacje te były przekazywane przez nasz aparat bezpieczeństwa, nie przez ich sieć.

G.M. – O agenturze KGB niewiele wiemy, ale jest inne pole badawcze, agentura STASI. Wiadomo, że w okresie „Solidarności” działała w Polsce specjalna grupa operacyjna „Warszawa”, która wielu oficjeli partyjnych zarejestrowała jako swoich tajnych współpracowników, oczywiście w tej niemieckiej, nieco innej nomenklaturze. Myślę, że ta kategoria też się doczeka zbadania.

PORTRET TW

W.B. – Zbliżamy się do charakterystyki przeciętnego tajnego współpracownika.

Z.N. – Mówimy tu często o tym, że jeden się złamał, drugiego złamali, to on taki biedny. Ja też uważam, że im trzeba przebaczyć. Może im trzeba współczuć, ale proszę popatrzeć na podstawy werbunku. Stosowano albo zwane z sowiecka „komprmaterialy”, czyli szantaż, albo korzyści materialne. To mogło iść w parze albo występować osobno. Dominowały zatem osoby złamane na podstawie szantażu albo zwykli cwaniacy lub cynicy, którym obiecano dużo pieniędzy bądź inne korzyści. Ciekawe, że wobec osób, które zgłaszały się dobrowolnie, na ochotnika, zalecana była wielka ostrożność. Właściwie wykluczano wyrażenie zgody na takie werbunki. Ale też nie mylmy pojęć. Jedno to zasada „dobrowolności” werbunku, jak ktoś sam się zgłosił. Drugie to inna „dobrowolność”. Jest propozycja i ktoś mówi: dobrze, tak, będę współpracował, tylko wcześniej oni mówią, co o nim wiedzą.

G.M. – W latach czterdziestych czy na początku lat pięćdziesiątych ludzie byli często zmuszani, nieraz bardzo brutalnie, do współpracy. Jednak im później, tym więcej takich przypadków, że ta współpraca bywała dobrowolna. Z bezpieczeństwem współpracowano bowiem na przykład po to, żeby otrzymać paszport, awansować, żeby zaszkodzić koledze. Z kolei



Fragment instalacji Jerzego Kaliny „Martwe tusze”,
Galeria „Pokaz”, Warszawa, marzec 2005

mam problem, kiedy czytam, jak funkcjonariusz pisze, że zwerbował danego człowieka „na zasadzie dobrowolności”, a za chwilę czytam, że SB dysponowała wiedzą, iż ten pan został wcześniej zatrzymany przez drogówkę za jazdę samochodem w stanie nietrzeźwym.

Z.N. – Zawsze jednak człowiek, poddany takiej procedurze, miał wybór.

G.M. – Jednak trzeba pamiętać, że każdy przypadek jest inny. Dla mnie niektórzy agenci bezpieki mają mniejszą „plamę” w życiorysie niż na przykład pewni sławni działacze opozycji, którzy wcześniej służyli aktywnie systemowi. Na przykład chłopak, który jako student poszedł na współpracę z Wojskową Służbą Wewnętrzną, współpracował przez miesiąc, nawet chciał być funkcjonariuszem WSW (notabene, mimo że był agentem, wyrzucono go z uczelni). Po kilku latach, gdy został przewodniczącym zarządu regionu w „Solidarności”, tego człowieka ponownie próbowano werbować (tym razem SB), ale na żadną współpracę się nie zgodził. Z drugiej strony mamy agenta, który przez czterdzieści lat aktywnie działał dla swoich mocodawców z bezpieki. To są dwa zupełnie nieporównywalne przypadki. Nie poruszyliśmy tutaj kwestii tzw. dialogów operacyjnych. Podejmowano je z ludźmi, którzy formalnie nie byli agentami, ale w wyniku rozmów z nimi, zdarzało się, iż SB osiągała określone korzyści operacyjne. Znamy też wszyscy sprawę Wiktora Trościanki z Radia Wolna Europa, który nie był formalnie żadnym agentem, niewątpliwie jednak z punktu widzenia SB okazał się bardziej użyteczny niż wiele spośród osób formalnie zarejestrowanych jako tajni współpracownicy.

LISTA

W.B. – Nie da się ukryć, że na kierunek naszej rozmowy, choć była ona planowana od dawna i moglibyśmy od tego abstrahować, ma jednak pewien wpływ wszechogarniająca dziś polskie media debata wokół tzw. listy Wildsteina. Która – nigdy nie dość powtarzania – nie jest przecież żadną listą, tylko zapisem inwentarзовym. Czy w ogóle da się sprokurować taką „prawdziwą” listę agentów?

G.M. – Trudno rozmawiać o agencji bez tego kontekstu ogólnego. Pomysł, żeby publikować jakieś listy, ma jeden zasadniczy minus. Dam konkretny przykład. Zgodnie z zapisem w dziennikach rejestracyjnych pewien znany polski polityk był w latach 1973–1981 tzw. konsultantem SB. Czyli na pierwszy rzut oka mamy do czynienia z kimś, kto przez osiem lat dzielnie współpracował z bezpieką. Otwieram teczkę i czytam, że ten człowiek, zresztą później bardzo zasłużony opozycjonista, w 1973 r. spotkał się dwukrotnie z funkcjonariuszami SB. Po raz pierwszy, gdy go zwerbowano, drugi raz, kilka tygodni później, gdy udzielił SB konsultacji w sprawie przechwyconych ulotek, i na tym ta współpraca właściwie się skończyła. Co prawda w 1975 r. miał być ponownie

konsultantem, ale sam był podejrzewany o nielegalny kolportaż, więc SB nie skorzystała z jego pomocy. W 1977 r. złożono wniosek o wyrejestrowanie go z sieci, ale wyrejestrowany został dopiero w 1981 r.

A.C. – Ja też uważam, że idea opublikowania jakiejś listy jest absurdem. Z tego, co pan powiedział, wynika, że samo stwierdzenie, iż ktoś był czy nie był zarejestrowany, niczego nie pokazuje, trzeba zbadać każdą taką sprawę, zwłaszcza w przypadku osób, które są na świeczniku czy odgrywały ważną rolę w pewnych środowiskach, i my musimy mieć możliwość takiego bardzo wszechstronnego badania. Jest oczywiście pewien problem metodologiczny, jaki staje przed wszystkimi historykami, i drugi, organizacyjny, jaki staje przed IPN. Mianowicie dzisiaj ekscytacja społeczna dotyczy tego, czy ktoś jest na liście, czy nie, i to historykom trochę krępuje ręce. Bo w tej chwili nasza odwaga będzie się zatrzymywać na etapie informacji, że ktoś był współpracownikiem. Ujawnienie tej informacji może wywołać tyle wrzawy, że nie będziemy mieli czasu i ochoty, żeby dalej się danym tematem zajmować.

W.B. – Jak zatem w obecnej sytuacji – zdaniem pana profesora – powinien postępować Instytut Pamięci Narodowej?

A.C. – Zakładam, że IPN będzie zmierzał do jakiegoś stopniowego poszerzenia możliwości oglądu tych materiałów. Mam tutaj na myśli przede wszystkim zaufanie do historyków; odtajnianie dokumentów i upraszczanie pewnych procedur. Nie można dopuścić do tego, że jak ktoś bada w IPN powiedzmy organizację X, na przykład NOWĄ czy CDN, to wedle takiego urzędniczego myślenia powinno mu się dać tylko źródła bezpośrednio dotyczące NOWEJ i CDN. To oczywiste, że badanie takiego problemu wymaga sięgnięcia także do materiałów porównawczych. Pragnę więc, aby ta biurokracja archiwalna nie paraliżowała naszych możliwości poszukiwania.

G.M. – Jako były archiwista, pracujący uprzednio w MSW, chcę jasno powiedzieć, że IPN stworzył historykom możliwości dużo pełniejszego dostępu do akt. Dziś historyk ma dostęp do inwentarzy, ewidencji archiwalnej. Jest to sytuacja komfortowa. W latach dziewięćdziesiątych sam typowałem materiały dla historyków. Im więcej „wgrzyzałem się” w daną materię, tym więcej akt mogłem znaleźć. Nie można wykluczyć, że mimo całej mojej dobrej woli pewnych, być może kluczowych materiałów, nie udało mi się skojarzyć z danym tematem.

Z.N. – Również jestem przeciwnikiem jakiegokolwiek listy, która nic nie wyjaśnia, niczego nikomu nie tłumaczy, daje trochę pożytki dla tanich emocji i sensacji, nic poza tym. Natomiast generalnie trzeba znaleźć jakiś klucz, żeby te dane jakoś udostępnić. Może niech to będzie opracowanie dotyczące danego terenu za okres stanu wojennego, czyli tak-

że działań SB wobec środowisk „Solidarności” z zakładów pracy (Departament V) i przy tej okazji dokumentowana działalność agentury. Nawet z imienia i nazwiska.

G.M. – Sama lista nie spowoduje, że poznamy prawdę. Dziś osoby poszkodowane mogą poznać i poznają nazwiska tych, którzy się przyczynili do ich konkretnych krzywd, często dramatów. I, powiedzmy szczerze, mają do tego pełne prawo, podobnie jest, moim zdaniem, z upublicznianiem nazwisk tych, którzy na nich donosili. Miejmy też nadzieję, że nie będziemy trzymać się cezury lipca 1983 r. W myśl obowiązujących w tej chwili interpretacji przepisów akta tajnych współpracowników wytworzone po tej dacie pozostają tajne. Choć w istocie rzeczy ta data wiele nie zmieniała. Wtedy jedynie Sejm PRL uchwalił ustawę o Ministrze Spraw Wewnętrznych, która legalizowała korzystanie przez SB z osobowych źródeł informacji.

NISZCZENIE AKT

W.B. – Kolejny temat to skala zachowania tych dokumentów. Czy można określić, jaką częścią wyjściowego zasobu jest to, czym dziś dysponujemy? Czy wiemy, kto, dlaczego i na jakich zasadach niszczył te dokumenty?

G.M. – Nie znam konkretnych danych. Na pewno jednak niszczone w pierwszej kolejności materiały dotyczące spraw prowadzonych na bieżąco, w tym przede wszystkim agentury. Kiedy rozpoczynałem pracę w MSW, była tam piwnica zavalona po sufit materiałami, które zniszczono w niszcarkach lub po prostu podarto, ale których nie zdążono wywieźć i spalić. Ale jak wcześniej mówiliśmy, nie da się zatrzeć wszystkich śladów.

W.B. – Jak to się praktycznie odbywało?

Z.N. – Największe zniszczenia zostały oczywiście poczynione w roku 1989 i 1990, ale nie łudźmy się; były one kontynuowane jeszcze za rządów solidarnościowych. Raport Macierewicza, który został przedstawiony 4 czerwca 1992 r., mówił o zniszczeniach w 1991 r. Oczywiście, niszczone w archiwum na podstawie wewnętrznych przepisów o brakowaniu, i to działo się okresowo. Nigdy nie było tak, żeby do końca wszystko zniszczono. Obowiązywały pewne zasady. Jeżeli niszczone po iluś latach akta jakiegoś agenta, który figurował, który był zarejestrowany jeszcze w UB, to niszczone wytworzone przez niego materiały, ale zostawiano kwestionariusz osobowy, żeby móc zidentyfikować delikwenta, i zostawiano najważniejsze dokumenty świadczące o jego współpracy. Najczęściej było to zobowiązanie, pokwitowanie odbioru pieniędzy, jedno, dwa, trzy doniesienia. Zszywano te wszystkie stroniczki

i składano gdzieś w segregatorach. Więc nigdy nie niszczone akt na podstawie tych protokołów do końca.

G.M. – W najgorszym wypadku zachowywała się ta informacja o współpracy, zapis w dzienniku rejestracyjnym czy karta w katalogu.

Z.N. – Oczywiście, były karty, były dzienniki rejestracyjne, dzienniki archiwalne, ta informacja zawsze tam zostawała. Odpowiednie nazwisko umieszczano też w protokole brakowania, jako akta o sygnaturze łamane przez „l”, jeszcze wcześniej przez „a”. Do 1960 r. dla każdej kategorii spraw były prowadzone osobne dzienniki rejestracyjne. Po tej dacie rejestracja odbywała się w ten sposób, że wszystko wrzucano do jednego worka, czy to był figurant, KO, TW, czy na przykład konsultant. Z tego dziennika dało się jednak wszystko wyczytać. Gdy to był kandydat na tajnego współpracownika, czyli KTW – to jeśli został przerejestrowany na TW, to „K” skreślano i wpisywano na górze datę, kiedy stawał się pełnym TW. Dzienniki archiwalne po 1960 r. też były prowadzone osobno dla każdej kategorii spraw, czyli: jedynki – agentura, dwójka to sprawy operacyjne różnej kategorii, trójka – śledcze, czwórka – sprawy operacyjne obiektowe, piątka była zastrzeżona dla funkcjonariuszy resortu, szóstka wreszcie dla pracowników cywilnych resortu, palaczy, malarzy itd. Najwięcej materiałów zniszczono w ramach wydziałów operacyjnych. Tak się działo pomimo znanego polecenia stycziowego Czestawa Kiszczaka z 1990 r., tak się działo przez następne miesiące.

W.B. – Po 1989 r. dokumenty aparatu bezpieczeństwa były niszczone nie po raz pierwszy; proceder ten miał już bowiem w PRL swój precedens. Wiadomo, że w pierwszej połowie 1954 r. zniszczono jakąś część dokumentów Departamentu X MBP; podobnie było w okresie tzw. odwilży w 1956 r. Czy w 1989 r. robiono to niejako na chybił trafił, czy w jakiś sposób systemowy?

Z.N. – Trudno odtworzyć, czy był jakiś system, czy nie.

A.C. – Oficerowie operacyjni sami niszczyli akta swoich podopiecznych.

Z.N. – Szła tylko informacja do Wydziału C: „proszę o wyrejestrowanie danych takich a takich materiałów”, ponieważ „ze względu na nikłą wartość operacyjną” zostają zniszczone. Myślę, że schematu nie było, niszczone czasami bardzo przypadkowo.

A.C. – Proporcjonalnie więcej zachowało się materiałów z lat wcześniejszych.

Z.N. – I ja tak sądzę. To jest wytłumaczalne. Funkcjonariusze, którzy dokonywali tych zniszczeń na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięć-

dziesiątych, tamte materiały – dla nas o wielkiej wartości historycznej – traktowali jak śmieci, ich to nie interesowało, niszczyli przede wszystkim te aktywa, na których sami pracowali. I oczywiście różnie to było w różnych terenowych urzędach.

G.M. – Ale z drugiej strony poznańska SB, która najbardziej metodycznie niszczyła teczki swoich agentów, równie porządnie w 1984 r. zrobiła takie zestawienie dotyczące swojej agentury wśród delegatów na I Krajowy Zjazd Delegatów „Solidarności”. Ale przy niszczeniu akt obowiązywała chyba jeszcze jedna zasada – im wyższy szczebel pewnych organizacji, tym materiałów jest mniej, im schodzimy na niższy szczebel, tym materiałów jest więcej. Tak było na przykład z „Solidarnością”.

Z.N. – Tu też nie ma reguły. Metodycznie niszczone na przykład akta Wydziału IV, czyli zajmującego się Kościołem. Prawie każdy esbek zostawił przy tym jednak, począwszy od Wydziału IV w terenie czy Wydziału C, swoje prywatne aktywa, gdzieś w szafie, całe listy zniszczonych materiałów. W przypadku IV – nazwiska księży itd. Takie rzeczy pozostawały.

G.M. – Jak się spojrzy na tych funkcjonariuszy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, to zauważymy, że to są ludzie, którzy idą do SB dla kariery, dla mieszkania, dla pieniędzy. Skądinąd pod koniec lat osiemdziesiątych często byli już rozczarowani. Czytałem właśnie relację jednego z esbeków, który odchodząc z resortu, mówił, że nastąpiła deprecjacja finansowa, nie dostał mieszkania. Z kolei ci bardziej aktywni i obrotni w końcu lat osiemdziesiątych przygotowują się do miękkiego lądowania, na przykład szukają posad w powstających spółkach z kapitałem zagranicznym.

Z.N. – Ale to ci najbardziej sprytni, proszę nie demonizować tego problemu. Wyznają taką teorię, że w UOP został trzeci garnitur, reszta poszła do biznesu już wcześniej, innych wykończyła weryfikacja. Część jeszcze wcześniej przeniosła się do milicji, a potem policji, na polecenie Kiszczaka.

T.R. – Mówimy tutaj o niszczeniu, ale nie można wykluczyć, że niektórzy funkcjonariusze, kiedy mieli problemy finansowe, zabierali część tych materiałów jako swego rodzaju kapitał.

G.M. – Jest jeszcze jedno zjawisko, ale nie znam jego skali, mianowicie w jakim stopniu agentura z SB przeszła po prostu do UOP czy WSi.

KTO BYŁ OFIARĄ?

W.B. – No, ale to jest osobne zagadnienie. Na koniec naszej rozmowy chciałbym jeszcze dotknąć kwestii moralnych związanych ze zjawiskiem agentury.

G.M. – Na tej opublikowanej liście mamy oprócz kilkudziesięciu tysięcy nazwisk współpracowników i kandydatów na tajnych współpracowników (w tym osób poszkodowanych) również ponad sto tysięcy nazwisk funkcjonariuszy i pracowników cywilnych bezpieki. I jakoś nikt – poza historykami z IPN – tymi ostatnimi nazwiskami się nie zainteresował. A to najczęściej są nazwiska sprawców.

Z.N. – Instytut zaczyna powoli publikować listy funkcjonariuszy, począwszy od poziomu szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, pełne obsady.

G.M. – O ile w latach pięćdziesiątych ci, którzy byli agentami, mieli poczucie winy i chęci oczyszczenia, o tyle w tej chwili nie widać u osób zaplątanych we współpracę z bezpieką takiej potrzeby, chęci oczyszczenia się. Byli agenci idą w po prostu w zaparte. Sprzyja temu sytuacja, w której są oni przedstawiani jako ofiary bezpieki, pokrzywdzeni zaś, którzy chcą dochodzić, kto na nich donosił, kto ich krzywdził, kto ich zdradził, posłał do więzienia czy spowodował wyrzucenie z pracy – są przedstawiani jako oszołomy krzywdzące tych biednych agentów.

Z.N. – Opowiadają pokrzywdzeni, którzy otrzymują materiały z IPN: część z nich idzie do tych agentów, pytając wprost – dlaczego, a oni się nie przyznają.

A.C. – Takie zachowanie agentów jest w jakimś stopniu wzmacniane przez media, które stwarzają atmosferę, że nad nimi należy się głównie litować.

G.M. – Jeżeli mamy człowieka, który na miesiąc czy rok poszedł na współpracę z SB, później zaangażował się w opozycję, i ma piękną opozycyjną kartę, to dla mnie jest to oczywiście plama w życiorysie, coś, o czym należy napisać w jego biografii, ale co absolutnie nie przekreśla jego zasług dla wolnej, demokratycznej Polski czy jego życia.

Z.N. – Ale ta karta byłaby jeszcze piękniejsza, gdyby powiedział, przyszedł do kolegów i przyznał – tak się stało.

A.C. – To był zresztą sposób na wypłatanie się z tej współpracy. Znam przypadek pewnego kolportera, który został złapany i podpisał deklarację współpracy. Gdy esbecy wydobyli od niego podpis, natychmiast powiedział o tym znajomym i bardzo prosił, żeby oni o tym informowali innych. Po kilku dniach esbecy zadzwonili do niego, wtedy on zaczął na nich krzyczeć: „Jak to, przecież to miało być w tajemnicy, a tu pół Warszawy wie o tym”. Przeprosili go i przestali się z nim kontaktować. Jest na liście Wildsteina, ale przecież nikt rozsądny nie będzie miał do niego pretensji.

W.B. – Dobrze jest pamiętać, że w takim trójkącie: oficer – TW – osoba rozpracowywana (tzw. figurant), ofiarą był figurant...

Z.N. – ...a nie tajny współpracownik.



Andrzej Chojnowski – ur. 1945, profesor historii, kieruje Zakładem Historii XX wieku w Instytucie Historycznym UW. Autor prac na temat Drugiej Rzeczypospolitej, Europy Wschodniej oraz Bliskiego Wschodu. Obecnie pracuje nad książką o postawach inteligencji w okresie gomułkowskiej „małej stabilizacji”.



Grzegorz Majchrzak – ur. 1969, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, członek Stowarzyszenia „Archiwum Solidarności”. Zajmuje się badaniem działalności aparatu represji i przejawów oporu społecznego w PRL oraz dziejami NSZZ „Solidarność”. Autor wielu artykułów i prac poświęconych tej problematyce.



Zbigniew Nawrocki – ur. 1959, doktor nauk humanistycznych, dyrektor Oddziału IPN w Rzeszowie. Zajmuje się dziejami podziemia niepodległościowego w Polsce w okresie II wojny światowej i w pierwszych latach powojennych, a także historią komunistycznego aparatu represji. Członek redakcji „Studiów Rzeszowskich”, redaktor naczelny „Aparatu Represji w Polsce Ludowej 1944–1989”. Laureat nagrody im. Jerzego Łojka (2000).



Tadeusz Ruzikowski – ur. 1975, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN. Zajmuje się historią społeczno-polityczną Polski powojennej, a także działalnością komunistycznego aparatu bezpieczeństwa. Przygotowuje rozprawę doktorską na temat stanu wojennego w Warszawie oraz woj. stołecznym. Stypendysta Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej (2004–2005).